



ROZDZIAŁ PIERWSZY

POCZUŁAM JEJ STRACH, ZANIM USŁYSZAŁAM, że krzyczy.

Koszmar, który ją dręczył, wtargnął do mojego snu. Leżałam na plaży i jakiś zabójczo przy-  
stojny mężczyzna smarował mi plecy olejkami do opalania, kiedy nagle zaatakowały mnie ob-  
razy kłębiące się w jej głowie: ogień, krew, swąd dymu i wrak samochodu. Zaczęłam się dusić.  
Na szczęście racjonalna część umysłu podpowiedziała mi, że to nie jest mój sen.

Obudziłam się mokra od potu, z kosmykami ciemnych włosów przyklejonymi do czoła.

Lissa rzucała się w pościeli na sąsiednim łóżku. Zerwałam się i podbiegłam do niej.

— Liss! — Potrząsnęłam nią. — Obudź się.

Krzyk przerodził się w ciche pojękiwanie.

— Andre — szepnęła. — O Boże.

Pomogłam jej usiąść.

— To tylko sen, Liss. Zbudź się.

Zamrugnęła. Wracała do przytomności. Oddychała znacznie spokojniej. Przysunęła się i opar-  
ła głowę na moim ramieniu. Przytuliłam ją i pogłaskałam po włosach.

— Już dobrze — powiedziałam łagodnie. — Wszystko jest w porządku.

— Miałam ten sen.

— Wiem.

Siedziałyśmy w milczeniu przez kilka minut. Kiedy Liss nieco się uspokoiła, sięgnęłam do  
stolika i zapaliłam lampkę nocną. Nie dawała wiele światła, ale nie było nam potrzebne. Przy-  
ćmiony blask zwabił kota naszej współlokatorki, Oskara, który wskoczył miękko na parapet  
otwartego okna.

Kocisko ominęło mnie szerokim łukiem. Jak większość zwierząt, nie lubił dampirów. Wsko-  
czył na łóżko i ocierał się o Lissę z cichym mruzeniem. Zwierzę nie stroni od morojów,  
a Lissę darzą szczególnym zaufaniem. Moja przyjaciółka uśmiechnęła się i podrapała kota pod  
brodą. Czułam, że to ją odpręża.

— Kiedy było ostatnie karmienie? — spytałam, bo dopiero teraz zauważyłam, że pobladła,  
a jej oczy otaczały szare cienie. Wyglądała krucho i bezbronne.

W szkole było ostatnio mnóstwo roboty. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy dawałam jej  
krew.

— Dwa dni temu? Trzy? Dlaczego nic nie mówiłaś?

Wzruszyła ramionami, unikając mojego wzroku.

— Byłaś zajęta. Nie chciałam...

— Daj spokój! — Usadowiłam się wygodniej. Nic dziwnego, że czuła się osłabiona. Widząc, że się przysuwam, Oskar zeskoczył z łóżka i wrócił na parapet, skąd mógł nas bezpiecznie obserwować. — Zróbmy to teraz. No, weź.

— Rose...

— Proszę cię. Poczujesz się lepiej.

Przechyliłam głowę i odgarnęłam włosy, odsłaniając szyję. Zawahała się, ale wiedziałam, że ta oferta stanowi dla niej nieodpartą pokusę. Lissa była głodna. Rozchyliła nieco wargi, ukazując kły, które starannie ukrywała, żyjąc między ludźmi. Długie zęby nie pasowały do jej twarzy. Była śliczną, delikatną blondynką. Bardziej przypominała anioła niż wampirzycę.

Kiedy się nachyliła, serce zabiło mi mocniej z lęku i podniecenia. Nie akceptowałam tych uczuć, ale nie umiałam nad nimi zapanować. Uważałam je za oznakę słabości charakteru. Krzyknęłam z bólu, kiedy Lissa zatopiła kły w mojej szyi. Po chwili jednak ogarnęło mnie cudowne uczucie błogości, lepsze niż alkohol czy narkotyki. Lepsze niż seks — w każdym razie takie miałam wrażenie, bo pierwszy raz jeszcze był przede mną. Odprężyłam się. Wszelkie obawy i wątpliwości zniknęły bez śladu. Nie wiem, jak długo Lissa piła moją krew. Substancje w jej ślinie uruchomiły wydzielanie endorfin w moim organizmie. Straciłam poczucie rzeczywistości.

[...]

Dobiegaliśmy do auta, gdy jakiś mężczyzna zagroził nam drogę. Zatrzymałyśmy się gwałtownie. Odciągnęłam Lissę, szarpiąc ją za ramię. To on, człowiek, którego widziałam przez okno. Sporo od nas starszy, wyglądał na dwadzieścia parę lat. Nie pomyliłam się co do jego wzrostu, mógł mierzyć jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów. W innych okolicznościach — gdyby nie zamknął nam drogi ucieczki — pomyślałabym, że jest seksowny. Ciemne włosy związane z tyłu i brązowe oczy, a do tego długi płaszcz, coś w rodzaju prochowca.

Jednak w tamtej chwili jego uroda nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Był tylko przeszkodą, nie pozwalał nam wsiąść do samochodu i uciekać. Odgłosy kroków za nami przycichły. Mają nas. Czułam, że zbliżają się ze wszystkich stron, osaczają. Boże. Wysłali po nas co najmniej dwunastu strażników. Nawet królowa nie ma takiej świty.

Wpadłam w panikę. Nie myślałam logicznie i zareagowałam instynktownie. Przysunęłam się do Lissy i zasłoniłam ją przed mężczyzną, który dowodził całą bandą.

— Zostawcie ją — warknęłam. — Nie ważcie się jej tknąć.

Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale wyciągnął do mnie ręce w uspokajającym geście. Poczuałam się jak zwierzę przed uśpieniem.

— Nie zrobię wam niczego złego — powiedział i postąpił krok naprzód.

Niedobrze.

Zaatakowałam. Skoczyłam na niego. Przerwałam treningi dwa lata temu, po naszej ucieczce. Nie przemyślałam tego ruchu, zdecydował impuls. Ale nie miałam szans. Był doświadczonym strażnikiem, nie wysłali po nas nowicjuszy. A ja wciąż słałam się na nogach, bliska omdlenia.

Był szybki. Zapomniałam już, jak sprawni są strażnicy, poruszają się zwinnie jak kobry. Zwalił mnie z nóg jednym błyskawicznym gestem, jakim odpędza się muchę. Straciłam równowagę. Nie sądzę, żeby chciał uderzyć tak mocno. Pewnie zamierzał tylko odsunąć mnie z drogi, ale nie wiedział, w jakim jestem stanie. Ziemia usunęła mi się spod nóg. Za chwilę walnę biodrem o twardy beton chodnika. Będzie bolało. Bardzo.

Nie upadłam.

Strażnik złapał mnie w ostatniej chwili. Kiedy odzyskałam chwiejną równowagę, zauważyłam, że uważnie mi się przygląda. Wpatrywał się w moją szyję. Oszołomienie przytępiło mi zmysły i nie od razu zorientowałam się, na co patrzy. Powoli uniosłam rękę i dotknęłam rany po ugryzieniu Lissy. Obejrzałam palce i zobaczyłam na nich plamę ciemnej, gęstej krwi. Zastydzona, potrząsnęłam głową i zasłoniłam się włosami.

Ciemne oczy mężczyzny spoczywały jeszcze przez chwilę na mojej szyi. Potem spojrzął mi w same źrenice. Wytrzymałam jego wzrok i wyszarpnęłam się z uścisku. Pozwolił na to, chociaż wiedziałam, że ma dość siły, żeby trzymać mnie tu przez całą noc. Walcząc z zawrotami głowy, przyprawiającymi o mdłości, znów przysunęłam się do Lissy, zbierając się do kolejnego ataku. Chwyliła mnie za rękę.

— Rose — powiedziała cicho. — Nie rób tego.

Jej słowa nie zrobiły na mnie wrażenia, ale nakazała mi spokój w myślach. Przesłała mi polecenie przez łączącą nas mentalną pępowinę, a ja nie umiałam się jej oprzeć. Nie używała czaru wpływu, nie mogłaby rzucić go na mnie. A jednak musiałam jej usłuchać. Byłyśmy osaczone i bezbronne. Wiedziałam, że opór nie ma sensu. Czułam, jak opuszcza mnie napięcie. Zostałam pokonana.

Strażnik zauważył, że skapitulowałam. Podszedł teraz do Lissy. Miał spokojną twarz. Złożył jej zgrabny ukłon. Zaskoczyło mnie to, bo był naprawdę wysoki.

— Nazywam się Dymitr Bielikow — powiedział. Wychwyciłam w jego głosie słaby rosyjski akcent. — Przybyłem, by odwieźć panią z powrotem do Akademii Świętego Władimira, księżniczko.

[...]

Więcej informacji na stronie [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)